

Na rowerze do Gruzji. Relacja cz.1

Data publikacji: 21.10.2014 7:55

Już po raz szósty cykliści ze Skoczowa i Cieszyna zorganizowali wyprawę rowerową, którą relacjonuje Ox.pl. Tym razem w mocno okrojonym składzie udali się do Gruzji. Mariusz Machej, Dariusz Szindler i Tomasz Tomica przejechali ok. 600 km zwiedzając m. in. Kazbegi, Tbilisi, Mcchetę, Gori, Kutaisi i Batumi.

13.09.2014, sobota Katowice-Kutaisi-Kazbegi, samolotem i busem

0:35 – odlot z Katowice. Lot trwa ok. 3 godzin, lecz ze względu na przesunięcie czasowe w Kutaisi jesteśmy po 5-tej czasu miejscowego. Po wyjściu z terminala, od razu obskoczyli nas miejscowi, oferując transport w dowolne miejsce. My umówiliśmy się wcześniej przez internet z Giorgian Bus, przejazd z lotniska do Kazbeki (ok.350 km) kosztuje 80 lari (160zł) za osobę plus rower. Na lotnisku wymieniamy dolary na lari (1lari=2 zł), o dziwo, tu nie zdzierają na kursie jak na naszych lotniska, kupujemy gruzińską kartę telefoniczną (rozmowy do kraju wychodzą dużo taniej niż z polskiej karty) i w drogę! Pierwsze wrażenia z Gruzji: piękne krajobrazy, niespodziewanie dobre drogi i olbrzymia ilość widocznej na drogach policji. Nas i nasze rowery poskładane na dachu wiezie Sosu swoim mercedesem busem z kierownicą po prawej stronie. Jak się później okazuje, mimo prawostronnego ruchu, samochody z kierownicą po prawej stronie są bardzo popularne w Gruzji, oczywiście prawie wszystkie sprowadzone z Japonii. Mieliśmy do Kazbegi jechać sami, ale kierowca 'na boku' zabiera jeszcze ludzi do Tbilisi i Czechen, który wraca z Francji, po zdobyciu Mont Blanc, do domu. Podróż nieco się wydłuża, jedziemy w poprzek Wielkiego Kaukazu, podziwiamy zapierające dech w piersiach widoki, aż w końcu o 16.30 docieramy do Kazbegi. Żegnamy się z kierowcą i Czechenem i zaczynamy składać rowery. A tu pierwsza niespodzianka: podczas transportu Tomkowi urwała się przednia manetka a dętka pękła przy wentylu. Na szczęście manetkę udało się zreperować, a i dętkę wymienić, choć wszystko to zabrało sporo czasu. Trzeba znaleźć nocleg – Tomek dzwonił do pani Ketino, dostał do niej numer od kolegi z pracy, który u niej nocował i gorąco ją polecał. Noclegi mieszczą się na piętrze domu, w którym mieszka Ketino, szumnie nazywa się to Guest House, ale niczym się nie różni od pozostałych skromnych gruzińskich domów w okolicy. No chyba, że napisem 'Ketino' nakreślonym kredą na bramie wjazdowej. Czujemy się jak w schronisku górskim. Oprócz nas u Ketino goszczą tu Holendrzy, Szwajcarzy i ludzie z Izraela. Atmosfera jak w schronisku górskim, prawie rodzinna. Wpiew podwieczorek, a o 20.00 zaczyna się kolacja ze specjałami kuchni gruzińskiej. Atmosfera robi się coraz luźniejsza, rozmawiamy po angielsku i rosyjsku (w następnych dniach już tylko po rosyjsku). Po jakimś czasie pojawia na kolacji się jakaś dalsza rodzina pani Ketino. Zaczynają grać na phanduri, gruzińskiej gitarze i śpiewać gruzińskie pieśni. Gospodyni Ketino wznosi toast o przyjaźni, który wraz z przytoczoną opowieścią trwa kilka minut. Jest pięknie. Na koniec kieliszek czaczy, czyli bimbru z winogron i nyny.

14.09.2014 niedziela, Kazbegi – przełęcz Krzyżowa – Ananuri (Gruzkańska Droga Wojenna), dystans 89 km

Spało się cudnie. O 8:00 śniadanie. Szwajcarzy są tu drugi raz, więc czują się jak u siebie. Rozkładają sztućce, przynoszą sałatki. Podano wyśmienite naleśniki, a właściwie "gibkie" placki i smażone jaja. Łapiemy dżipa na górę do klasztoru Cmindza Sameba (Świętej Trójcy). W licznych wydawnictwach poświęconych Gruzji właśnie ta świątynia widnieje na okładce. Zwiedzamy klasztor, a że dziś mamy szczęście i pogoda jest idealna, przed nami roztaczają się wspaniałe widoki na górę Kazbek (5033 m n.p.m.) - według legendy, to właśnie Kazbek jest miejscem, w którym został przykuty do skały Prometeusz. Jeszcze pożegnalne uściski z Ketino i po 10-tej wsiadamy na rowery, zaczynamy podróż Gruzkańską Drogą Wojenną w kierunku Tbilisi. Początkowo droga przez 18 km lekko się wznosi, a potem zaczyna się 8 km ostrego podjazdu na Przełęcz Krzyżową 2370 m. Śwąd spalonych opon samochodowych odtąd będzie nam się kojarzył z tym miejscem. W sumie myśleliśmy, że będzie gorzej, ale spokojnie daliśmy radę, chociaż było co pedałowac. Dwa odpoczynki po drodze, w tym jeden przy gruzińskich tarasach - miniatura tureckiego Pamukkale. Tu po raz pierwszy kupujemy gruzińskie "snickersy" czukczerle - nanizane na nitkę orzechy zatopione w soku z winogron i wysuszone na kształt kiełbasek. Dobre, choć nie wszystkie. Na przełęczy robimy pamiątkowe zdjęcie przy kamiennym krzyżu ustawionym w 1824, w miejscu wyznaczającym najwyższy jej punkt. I w

dół. Zatrzymujemy się w Gudauri, gruzińskim kurorcie narciarskim, na posiłek - szaszłyk i lemoniadę. Tutaj mają takie lemoniady o bardzo specyficznych smakach, np. kremowym, estragonowym, anyżkowym - u nas takich nie uświadczysz. Jedziemy dalej cały czas z górki z nielicznymi podjazdami drogą, która ciągnie się między malowniczymi górami Kaukazu. Po około 90 kilometrach pytamy się w sklepie o nocleg. Od słowa do słowa okazuje się, że jest 200 m dalej, u cioci Leny. Starsza pani po rosyjsku mówi, że nie mówi po rosyjsku (!) i niczego w tym języku nie rozumie, ale jak się dowiaduję, że my też nie, bo jesteśmy z Polski, zaraz się dogadujemy i dostajemy pokój i śniadanie. Wieczorem przyjeżdżają na nocleg jeszcze Rosjanie z Moskwy. Gadamy trochę z nimi i idziemy spać.

15.09.2014, poniedziałek, Ananuri – Mccheta - Tbilisi, dystans 71 km

O 8:00 'ciocia' Lena robi śniadanie i nie wypuszcza nas bez kieliszka bimbru na koniec. Wołodia i Mariusz wymieniają się telefonami i mailami. Rosjanie też jadą do Batumi, a właściwie Gonio, więc umawiamy się tam na spotkanie. Po drodze będą jeszcze nas kilka razy mijać. Po 2 km od noclegu zatrzymujemy się przy się przy twierdzy Anannuri. Zwiedzamy położony nad turkusowym jeziorem zabytkowy kompleks pochodzący z przełomu XVI i XVII wieku. Na całość składają się dwie cerkwie, wieża z piramidalnym dachem oraz mury obronne. Robimy zdjęcia i jedziemy dalej. Parę kilometrów przed Mcchetą, droga ze zwykłej, dwukierunkowej, zmienia się w autostradę, a przynajmniej tak informują znaki. Ponieważ nie ma innej możliwości jazdy, Mariusz idzie zapytać stojących na poboczu policjantów, czy na autostradzie można jechać rowerem. „Można, tylko astarożno” odpowiadają panowie po rosyjsku i tym sposobem dojeżdżamy do Mcchety – pierwszej stolicy Gruzji. Termometr pokazuje 34 oC. Najważniejszym budynkiem w mieście jest katedra Sweti Cchoweli - katedra patriarchalna i siedziba katolikosy – patriarchy, głowy Gruzjińskiego Kościoła Prawosławnego, a wokół jej rozciąga się niewielka „nowa starówka” – odremontowana część miasta z restauracjami, pensjonatami i kramami dla turystów. W tym miejscu można spotkać tłumy rodaków. Po 'objechaniu' miasteczka, siadamy w knajpce i zamawiamy chaczapurii - tradycyjny placek gruziński z serem. Dobry, ale chyba nie zostaniemy jego fanami . Wsiadamy na rowery jedziemy dalej. Po 10 km dojeżdżamy do granic administracyjnych Tbilisi, a dalej jazda zaczyna się robić coraz bardziej koszmarne. Po 16 km jazdy po 4 pasmowej drodze między nieskończoną liczbą pędzących i trąbiących aut dojeżdżamy w końcu do centrum. Mamy dosyć. W przewodniku znajdujemy informacje o hostelu na ul. Marianishvili. Jest taki, nazywa się 'U Dodo', a Dodo to sympatyczna starsza pani, która mówi po angielsku i rosyjsku, a także ponoć w kilku innych językach. Mieszkanie, co prawda przypomina nam kamienicę Ferdynanda Kiepskiego no, ale niech będzie. Po ciemku (chwilowy brak światła w całym rejonie) bierzemy prysznic i idziemy do centrum. Generalnie, na naszej ulicy jest "małpi gaj", trzeba trochę przywyknąć do ruchu i obowiązujących tu zasad. Trochę czasu zajęło nam nauczenie się przechodzenia przez niezwykle ruchliwe ulice (dla Gruzinów przejścia dla pieszych to tylko niepotrzebne plamy na jezdni, przechodzą przez ulicę w każdym możliwym miejscu, tylko nie przez przejście). Do centrum dochodzimy aleją Szoty Rustawelego - gruzińskiego odpowiednika naszego Adama Mickiewicza, która uchodzi za główną i najbardziej prestiżową arterię miasta. Przechodząc między rządowymi gmachami i ekskluzywnymi hotelami, dochodzimy do Placu Wolności. Niestety, jest już godzina 19-sta, zrobiło się ciemno i nie zrobimy już wielu fajnych zdjęć, a odnowione stare miasto nocą wygląda naprawdę imponująco. Za 2 lari jedziemy kolejką linową na wzgórze do pomnika Matuszki Gruzji (Kartlis Deda) obok twierdzy Narikala, skąd roztacza się cudowny widok oświetlone miasto. Coś wspaniałego. Na dłuższą chwilę przystajemy przy tańczących fontanny w parku Rike. Pięknie. Jeszcze przejście przez oświetlony, futurystyczny Most Pokoju i wracamy metrem na nocleg. Mało czasu! Mało czasu, kruca bomba, żeby wszystko zobaczyć. Jakoś zasypiamy w okropnie nagrzanym pokoju.

16.09.2014 wtorek Tbilisi – Gori, dystans 82 km

Żegnamy Dodo i wyruszamy w dalszą drogę, klucząc uliczkami koło dworca Didube usiłujemy wyjechać z Tbilisi. Można by pomyśleć, że najważniejszą rzeczą w Tbilisi jest olej samochodowy, wzdłuż drogi pełno warsztatów wymieniających olej. Jest dobrze, chyba przyzwyczailiśmy się do zasad panujących tutaj na drodze, i w miarę bezpiecznie, po 16-stu kilometrach mijamy tablicę Tbilisi. Jedziemy w kierunku Gori, bocznymi, prawie pustymi drogami. Mijamy mniejsze i większe szarobure wioski. Śmieci! Tu jest pełno walających się wzdłuż drogi odpadów. Śmieciowe apogeum osiągamy w centrum jednej z wiosek, gdzie przy sklepie gdzie zatrzymaliśmy się na zakupy. Wokoło porzucane są tak niewiarygodne ilości śmieci, że czujemy się jak na wielkim wysypisku. Po 45 km monotonnej i nie za bardzo ciekawej trasy - odpoczynek. W barze jest tylko piwo, ale cóż znaczy gruzińska gościnność – facet w knajpce szybko organizuje parówki i chleb w pobliskim sklepie, gotuje je i za chwilę podaje. Ummmm – jak to smakuje... Ledwo ruszyliśmy, gdzieś pomiędzy jedną a drugą wioską, na niebie pojawiły się ciemnogrnatowe chmury. Wiatr zaczął wiać prosto w twarz, tak że prawie nie da się jechać. Hm, wokół jak okiem sięgnąć same pastwiska, nie ma się gdzie ukryć przed deszczem. Jakiś facet na koniu podjechał do nas, i ze strachem

w oczach mówi żebyśmy się schowali. Ponoć za dwa kilometry jest most, pod którym się możemy schronić. Ubieramy kurtki i sztormiaki, i jedziemy. A tu jak nie lunie. Prawie grad. Dwa gruzińskie kilometry, okazały się 5-cioma normalnymi, i kiedy po 25 minutach kompletnie mokrzy dojechaliśmy do mostu, burza już przeszła. Na szczęście do Gori jest już z górki 21 km, a i zrobiło się trochę cieplej, więc jadąc deczko obsychamy. W centrum, na Stalin Avenue łapie nas jakaś kobieta i proponuje nocleg za 15 lari z dostępem do ciepłej wody. Może to nie jest szczyt luksusu, pokoju śmierdzi papierosami i stęchlizną, ale za to nocujemy w samym centrum Gori, zaraz pod twierdzą Goris Ciche. Z twierdzy rozpościerają się wspaniałe widoki na 45-tysięczne Gori i dolinę rzeki Mtkvari. Schodzimy z góry i poprzez kolejną „nową starówkę”, która tutaj wygląda na ledwo co wyremontowaną i jeszcze nie zamieszkaną, kierujemy się do miejsca, z którego miasto jest najbardziej znane – do muzeum Stalina. Do wielkiego socrealistycznego gmachu muzeum nie wchodzimy, ale z zewnątrz oglądamy przeniesioną w to miejsce i odrestaurowaną chatę, w której Stalin spędził dzieciństwo, oraz opancerzony wagon, którym podróżował.

17.09.2014 środa, Gori- Uplistsikhe-Kutaisi, busem, Kutaisi- Mocameta- Kutaisi rowerem dystans 20 km

Wczoraj wieczorem ustaliliśmy, że jedziemy do odległego o 10 km Uplistsikhe. Aby zwiedzić miasto wykute w skale nad brzegiem rzeki Mtkvari. Jak chcesz w Gruzji cokolwiek załatwić, idziesz na bazar. Naganiacz znalazł nas szybciej, niż my jego i zaprowadził nas do taksówki, która za 30 lari zawiezie nas tam i z powrotem. Dziś pogoda jest znowu fantastyczna - słońce i przecudne widoki. Uplistsikhe, czyli „Pańska Twierdza, to największe miasto skalne na terenie Gruzji, składa się z wielu wykutych w skale pomieszczeń rozlokowanych na kilku poziomach, połączonych korytarzami lub schodami. Po powrocie na bazar w Gori, pytamy naganiacza o transport do Kutaisi – w parę minut znalazł się chętny taksówkarz do zawiezienia nas do Kutaisi (160 km) za 110 lari. Nie chcieliśmy jechać z Gori na rowerach główną drogą. Gruzini jeżdżą jak wariaci i mogliby nas rozjechać. A poza tym, to żadna przyjemność, a objazdu nie znaleźliśmy na mapie. Pakujemy się do Opla Zafiry, rower Tomka do środka, a dwa pozostałe na dach. Kierowca całą drogę jest bardzo rozmowy, dowiadujemy się od niego dużo ciekawostek o życiu w Gruzji. Jako taksówkarz szczególną niechęcią pała do tutejszych policjantów, którzy według jego słów zarabiają 1500-2000 lari, a prosty człowiek tylko 150-200 lari. No i jak żyć panie premierze?! Po drodze zatrzymujemy się, aby kupić Nazuki - słodki chlebek z rodzynkami wypiekany w glinianym piecu tone. Po 2,5 godzinie jesteśmy w 200-tysięcznym Kutaisi. Nasz taksówkarz na pożegnanie chciał wycałować Mariusza, ten zdążył uciec. Dopiero później zorientowaliśmy się w tutejszych zwyczajach – mężczyźni na powitanie i pożegnanie całują się, a kobietom podają rękę. Do centrum miasta wjeżdżamy na rowerach i zaraz za Białym Mostem i przy Agmaszenebeli, znajdujemy hostel Sano. Fajny, zadbane pokój z logią, w której stoją nasze rowery, kuchnię i łazienkę. Mamy jeszcze trochę wolnego czasu, więc na rowerach chcemy dojechać od monasteru Gelati. Niestety na mapie wygląda to lepiej, a w rzeczywistości na drodze najpierw "kocie łby", a potem dziury i cały czas pod górę, więc chyba nie zdążymy, bo za niedługo zacznie się ściemniać. Po drodze jest jeszcze jeden monaster, nie tak sławny jak Gelati, ale też wart zwiedzenia – Mocameta (czyli Męczennicy). Ubrani w długie chusty zakrywające kolana, zwiedzamy klasztor, gdzie leżą szczątki książąt Argaweti, którzy w VIII wieku zorganizowali przeciw Arabom powstanie. Te jednak zostało krwawo stłumione, a bracia zgładzeni, a ich ciała wrzucone do rzeki. Z murów klasztornych rozciągają się wspaniałe widoki na wijącą się u podnóża wzgórze właśnie tę rzekę - Cchalcitela, czyli Czerwoną Wodę. Do hostelu wracamy praktycznie po ciemku. Kolacje jemy w przyjemnej knajpce w centrum. Zamawiamy chinkali - tradycyjnie gruzińskie (kaukaskie?) danie - duże pierogi wypełnione mięsem i rosółem przyprawione mocno (może nawet dla nas za mocno) kolendrą.

Druga część wkrótce...

Zobacz zdjęcia z wyprawy: [Wyprawa rowerowa: GRUZJA](#)